

STEPHEN KING

MARZENIA I KOSZMARY



Cadillac Dolana

Zemsta jest potrawą, którą najlepiej spożywać na zimno.

Przysłowie hiszpańskie

Czekałem i obserwowałem przez siedem lat. Dolan. Widziałem go, jak przychodzi i odchodzi. Obserwowałem, jak uczęszcza do wytwornych restauracji, ubrany w smoking, zawsze z inną kobietą uczepioną jego ramienia, zawsze w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Obserwowałem, jak jego stalowoszare włosy stawały się elegancko i modnie siwe, podczas gdy moje stopniowo wypadały, aż zacząłem świecić łysą pałą. Obserwowałem, jak opuszcza Las Vegas, udając się w swe regularne pielgrzymki na Zachodnie Wybrzeże; obserwowałem jego powroty. Dwa czy trzy razy obserwowałem z pobocza szosy, jak jego sedan cadillac De Ville, w kolorze takim samym jak włosy właściciela, przemyka szosą 71 w kierunku Los Angeles. Kilkakrotnie obserwowałem, jak tą samą szarą limuzyną opuszcza swój dom na Hollywood Hills, żeby wrócić do Las Vegas — ale to zdarzało mi się nieczęsto. Jestem nauczycielem. Nauczyciele nie mają tyle wolnego czasu i takiej swobody ruchów jak bogaci gangsterzy. Jest to po prostu czysto ekonomiczny aspekt życia.

Nie wiedział, że go obserwuję. Nigdy nie zbliżyłem się do niego na tyle, żeby mógł mnie dostrzec. Zachowywałem ostrożność.

Zabił moją żonę, czy raczej doprowadził do jej śmierci; na jedno wychodzi. Chcecie poznać szczegóły? Ode mnie się ich nie dowiecie. Jeśli pragniecie je poznać, zajrzyjcie do starych gazet. Miała na imię Elizabeth. Uczyła w tej samej szkole co ja. Zresztą uczę tam do dzisiaj. Prowadziła lekcje z pierwszymi klasami. Dzieciaki ją uwielbiały i myślałem, że niektóre nie zapomniąły ukochanej nauczyci-

cielki, choć dzisiaj mają już po kilkanaście lat. Ja również ją kochałem i kocham do teraz. Nie miała oszałamiającej urody, ale była ładna. Była cicha i spokojna, ale umiała się śmiać. Śnię o niej. Śnię o jej orzechowych oczach. Nigdy nie istniała dla mnie inna kobieta. I nigdy już się nie pojawiła.

Powinęła mu się noga. Dolanowi. To wszystko, co musicie wiedzieć. Jednocześnie znalazła się tam Elizabeth. W niewłaściwym miejscu i o niewłaściwym czasie. Była świadkiem tego, jak powinęła mu się noga. Poszła na policję, stamtąd odesłano ją do FBI. Została przesłuchana i wyraziła zgodę, oświadczyła, że będzie zeznawać jako świadek. Zapewniono jej wprowadzić ochronę, lecz i FBI powinęła się noga albo nie doceniło Dolana. A może i jedno, i drugie. Tak czy owak, pewnego wieczoru Elizabeth wsiadła do samochodu, a podłączony do stacyjki ładunek dynamitu sprawił, że zostałem wdowcem. To on zrobił ze mnie wdowca — Dolan.

Kiedy zabrakło jedyne go świadka, został zwolniony. On wrócił do swego świata, ja do swego. Wytworny apartament na dachu wieżowca dla niego, dla mnie pusty niewielki domek. Dla niego piękne kobiety w futrach i błyszczących wieczorowych strojach, dla mnie cisza. Cztery szare limuzyny marki Cadillac rocznie dla niego, dla mnie stary buick riviera. Jemu włosy posiwiały, mnie po prostu wyszły.

Ale obserwowałem.

O tak, byłem bardzo ostrożny! Bardzo. Wiedziałem, kim jest i na co go stać. Wiedziałem, że zgniótłby mnie jak robaka, gdyby dowiedział się lub domyślił, co dla niego szykuje. Dlatego byłem ostrożny.

Podczas letnich wakacji przed trzema laty towarzyszyłem mu (w roztropnej odległości) w drodze do Los Angeles, dokąd jeździł regularnie. Zatrzymał się w swej eleganckiej rezydencji i wydawał przyjęcia (skryty w bezpiecznym cieniu na najbliższej przecznicy, obserwowałem przyjeżdżających i odjeżdżających gości i jeszcze bardziej wsiąkałem w mrok, kiedy pojawiały się odbywające patrol policyjne radiowozy). Zatrzymałem się w tanim hoteliku, gdzie goście za głośno nastawiali radia, a w oknach mego pokoju lśniły jaskrawe światła neonu mieszczącego się po drugiej stronie ulicy baru, w którym występowały dziewczęta w toplessach. Nocami, kiedy już zapadałem w sen, śniły mi się orzechowe oczy Elizabeth, śniłem, że wcale się to wszystko nie wydarzyło, i czasami, gdy się budziłem, na twarzy miałem ślady łez.

Powoli traciłem nadzieję.

Rozumiecie, ciągle był dobrze strzeżony; tak dobrze strzeżony. Nie ruszał się z domu na krok bez dwóch uzbrojonych po zęby

goryli, a jeździł opancerzonym cadillakiem. A także wyposażonym w ogromne, radialne, samouszczelniające opony, tak lubiane przez awanturniczych dyktatorów niewielkich, niespokojnych państweczek.

I wtedy właśnie, gdy towarzyszyłem mu po raz ostatni, wymyśliłem sposób, w jaki można to zrobić... Znalazłem sposób i okropnie się wystraszyłem.

Towarzyszyłem mu w drodze powrotnej do Las Vegas, ale trzymałem się za nim w odległości półtora, a czasem trzech lub czterech kilometrów. Kiedy przecinaliśmy pustynię, jadąc w kierunku wschodnim, jego samochód był zaledwie lśniącem na horyzoncie maleńkim punkcikiem odbitego od karoserii słonecznego światła, a ja myślałem o Elizabeth i o tym, jak cudownie słońce skrzyło się w jej włosach.

Trzymałem się w bardzo dużej odległości. Był środek tygodnia i na autostradzie US 71 panował niewielki ruch. Na pustej szosie tropienie innego samochodu staje się uciążliwe i niebezpieczne — o tym wie nawet nauczyciel ze szkoły podstawowej. Minąłem pomarańczowy znak z napisem: OBJAZD ZA 8 KILOMETRÓW i zwiększyłem dzielący nas dystans. Na pustynnych objazdach wszyscy poruszają się bardzo powoli, a ja nie chciałem zanadto zbliżyć się do szarego cadillaca forsującego jakąś drugorzędną, porżniętą koleinami drogę.

OBJAZD ZA 5 KILOMETRÓW — pojawił się kolejny napis, a pod nim: ROBOTY DROGOWE PRZY UŻYCIU DYNAMITU. WYŁĄCZYĆ RADIA CB.

Przypomniał mi się film, który oglądałem dwa lata wcześniej. Na filmie tym uzbrojeni rabusie, ustawivszy przy drodze fałszywe znaki, zwabili opancerzoną limuzynę na pustynię. Kiedy kierowca, zmamiony fałszywymi znakami, skręcił w opustoszałą, wiejską drogę (na pustyni istnieje wiele takich szlaków wydeptanych przez stada owiec, dróg prowadzących do odległych rancz oraz starych, rządowych traktów wiodących donikąd), złodzieje usunęli znaki, żeby się upewnić, że nie pojawi się jakiś inny, przypadkowy samochód, i tak długo oblegali zwabiony w pułapkę opancerzony wóz, aż wyleźli z niego ochroniarze.

Zabili ochroniarzy.

Pamiętam ten szczegół.

Zabili ochroniarzy!

Dotarłem do objazdu i skręciłem w wyboisty szlak. Droga, jak to przewidywałem, była w fatalnym stanie — zasypiana piaskiem, wąska dwupasmówka, pełna dziur i kolein, na których mój stary buick trząsł się i jęczał. Wymagał nowych amortyzatorów, a to

bardzo poważny wydatek dla nauczyciela, nawet dla bezdzietnego wdowca, który nie ma żadnego hobby z wyjątkiem pragnienia zemsty.

Pomysł przyszedł mi do głowy w chwili, gdy buick trząsł się i podskakiwał na nierównej drodze. Zamiast następnym razem podążać za cadillakiem Dolana w drodze z Las Vegas do Los Angeles albo z Los Angeles do Las Vegas, powinienem go wyprzedzić — pojechać przodem. Powinienem postawić fałszywe znaki objazdu, takie same jak na filmie, i wywieść Dolana na odludzie, w puste, ciche i otoczone górami rozciągającymi się na wschód od Las Vegas miejsce. Potem natychmiast usunąć znaki, jak zrobili to rabusie na filmie...

Brutalnie wróciłem do rzeczywistości. Przed sobą, tuż przed sobą, ujrzałem zaparkowanego na pylistym poboczu cadillaca Dolana. Jedna opona, samouszczelniająca się albo i nie, była płaska. Nie, nie płaska. Została rozerwana na strzępy. Zapewne winę za to ponosił jakiś ostry kawałek skały, który uderzył w oponę niczym miniaturowa mina przeciwczołgowa. Jeden z dwóch ochroniarzy pochylony był przy ustawionym z przodu podnośniku. Drugi — olbrzym ze spoconą, świńską twarzą, stał obok samego Dolana, zapewniając mu bezpieczeństwo. Widzicie sami, nawet na środku pustyni nikt nie miał szans zbliżyć się do Dolana.

Dolan stał obok auta, szczupły, w rozpiętej pod szyją koszuli i w czarnych spodniach, pustynny wiatr rozwiewał mu siwe włosy. Palił papierosa i spoglądał na mężczyzn zupełnie tak, jakby znajdowali się w restauracji, na sali balowej lub w salonie.

Jego wzrok spoczął na chwilę na przedniej szybie buicka. Nasze oczy spotkały się, ale po chwili Dolan odwrócił głowę. Najwyraźniej mnie nie poznał, jakkolwiek raz już widział mnie przed siedmioma laty (wtedy miałem jeszcze włosy!), gdy podczas wstępnego przesłuchania siedziałem obok żony.

Przerażenie, jakie ogarnęło mnie w chwili nieoczekiwanego spotkania, zamieniło się w ślełą furię.

Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby opuścić okno po stronie pasażera i wrzasnąć: „Jak śmiałeś mnie zapomnieć? Jak śmiałeś mnie tak zbyć?”. Och, naturalnie, byłby to czyn szaleńczy. To bardzo dobrze, że mnie zapomniał, to miło, że tak mnie zbył. Lepiej być myszą kryjącą się za boazerią i przegryzającą przewody. Lepiej być pajakiem snującym wysoko pod rynną swoją zabójczą sieć.

Mozolący się w pocie czoła przy podnośniku ochroniarz zamachał ręką. Nie tylko Dolan mnie zapomniał. Popatrzyłem obojętnie

na gestykulującego w moją stronę mężczyznę, życząc mu w duchu zawału lub wylewu, najlepiej obu tych przypadłości jednocześnie. Pojechałem dalej — ale w głowie huczało mi i pulsowało, a przez kilka chwil góry na horyzoncie falowały mi w oczach i widziałem je podwójnie.

Gdybym miał pistolet! — pomyślałem. — Gdybym tylko miał pistolet! Gdybym tylko miał pistolet, odebrałbym mu raz na zawsze jego parszywe, odrażające życie!

Kiedy przejechałem kilkanaście kilometrów, wrócił mi zdrowy rozsądek. Gdybym miał pistolet, jedynym moim zyskiem byłaby własna śmierć. Gdybym miał pistolet, mógłbym jedynie zatrzymać się obok pracującego przy lewarku goryla, który do mnie machał, wysiąść z samochodu i na oślep zasypać pustynny krajobraz gradem kul. Może nawet kogoś bym zranił. Ale potem oni zastrzeliliby mnie i pochowali w bezimiennym, płytkim grobie. Wtedy Dolan znów ciągałby się z pięknymi kobietami, odbywał swoje pielgrzymki srebrzystym cadillakiem z Las Vegas do Los Angeles i z powrotem, a w tym czasie pustynne zwierzęta odgrzebałyby moje szczątki i walczyły o kości w zimnym świetle księżyca. I nikt nie pomściłby Elizabeth... Nikt.

Towarzyszący mu mężczyźni potrafili tylko zabijać. Ja potrafiłem tylko uczyć trzecioklasistów.

To nie film — napomniałem się w duchu, kiedy z powrotem wjeżdżałem na autostradę i mijałem pomarańczową tablicę z napisem: KONIEC ROBÓT DROGOWYCH. STAN NEVADA DZIĘKUJEMY. Gdybym kiedykolwiek pomylił film z rzeczywistością, sądząc, że łysiejący, cierpiący na krótkowzroczność nauczyciel trzeciej klasy szkoły podstawowej mógłby przekształcić się w Dirty'ego Harry'ego naprawdę, a nie wyłącznie w marzeniach, nikt nigdy nie pomściłby Elizabeth. Nigdy.

Ale czy w ogóle można się zemścić? Czy można?

Pomysł ustawienia fałszywych znaków był równie romantyczny i nierealny jak pomysł wyskoczenia z samochodu i położenia trupem całej trójki. Kto niby miał to zrobić? Ja? Ja, który ostatni raz strzelałem w wieku szesnastu lat, a na dodatek nigdy nie miałem w ręku pistoletu.

Nawet na filmie taka rzecz jest niemożliwa do zrealizowania bez całej dobrze zorganizowanej grupy. To oczywiście nawet dla takiego romantyka jak ja. Na filmie było ich ośmiu czy dziewięciu, podzielonych na dwa oddziały, które kontaktowały się ze sobą za pomocą radiotelefonów. Jeden krążył nawet nad autostradą w wielkim samolocie, żeby się upewnić, że opancerzonemu pojazd-

dowi, kiedy zbliżał się do fałszywego objazdu, nie towarzyszy żaden inny samochód.

Bez wątpienia całą intrygę wymyślił jakiś otyły scenarzysta siedzący na brzegu basenu z *piña colada* w jednym ręku, długopisem Pentela w drugim i z rozłożoną przed nosem prawie podręcznikowo traktowaną książką Edgara Wallace’a. Ponadto ów jegomość miał jeszcze całą armię asystentów, którzy pomogli mu dopracować pomysł. Ja byłem sam.

Plan do niczego. Po prostu chwilowy, poroniony pomysł, jakich tyle przychodziło mi do głowy przez te wszystkie lata, jak pomysł z trującym gazem wpuszczonym do przewodów systemu klimatyzacyjnego Dolana, pomysł podłożenia bomby w jego rezydencji w Los Angeles czy też idea zdobycia jakiejś morderczej broni, na przykład bazooki, z którą, gdy jechałby szosą 71 na wschód do Vegas lub na zachód do Los Angeles, zamieniłbym jego przeklętego srebrnego cadillaca w kulę ognia.

Lepiej tego zaniechać. Odrzucić to wszystko.

Ale to niemożliwe. Bo to nie chce odejść.

Odetnij go — wstawiał się w mojej głowie za Elizabeth jakiś wewnętrzny głos. — *Odetnij go tak, jak wyszkolony owczarek odcina od stada wskazane przez właściciela jagnię. Wyprowadź go na manowce, na odludzie, i tam zabij. Zabij ich wszystkich.*

Do niczego. Musiałem pogodzić się z prawdą, że skoro człowiek taki jak Dolan pozostawał przy życiu, musiał szczególnie wyostrzyć w sobie instynkt przetrwania — wyostrzyć zapewne do stanu paranoi. On i jego ludzie w jednej chwili zorientują się w podstępie z objazdem.

A jednak dzisiaj skęcili — odparł wewnętrzny głos wstawiający się za Elizabeth. — *Nawet się nie zawahali. Skęcili potulnie jak baranki.*

Ale wiedziałem też — tak, skądś to wiedziałem — że ludzie pokroju Dolana, ludzie przypominający bardziej wilki niż człowieka, potrafią jakimś szóstym zmysłem zwęszyć niebezpieczeństwo. Mógłbym wykraść z jakiegoś przydrożnego baraku prawdziwe tablice nakazujące objazd i ustawić je we właściwych miejscach. Mógłbym nawet ustawić owe fluorescencyjne, pomarańczowe pachołki drogowe i wymalować kilka znaków na samej szosie. Mógłbym to wszystko zrobić, a mimo to Dolan zwęszyłby zapach potu pochodzący z moich rąk. Zwęszyłby go nawet przez pancerne szyby swojej limuzyny. Zamknąłby oczy, odebrałby telepatycznie gdzieś w najgłębszych otchłaniach swego umysłu wymawiane przeze mnie imię Elizabeth.

Głos, który pod moją czaszką wstawiał się za Elizabeth, zamilkł i nie odzywał się dłuższy czas. Kiedy jednak w zasięgu wzroku pojawiło się Vegas — spowite błękitną mgiełką i drżące na krańcach w bijącym z pustyni upale — zabrzmiał ponownie.

Zatem nie próbuj zwodzić go fałszywym objazdem — szepnęło mi coś pod czaszką. — Zwiedź go prawdziwym.

Wjechałem buickiem na pobocze i z całych sił nacisnąłem hamulce. Rozwartymi ze zdumienia oczyma gapiłem się we wsteczne lustro.

W głowie wstawiający się za Elizabeth głos wybuchnął śmiechem. Dzi kim, obłąkańczym śmiechem. Po chwili mu zawtórowałem.

Kiedy pojawiłem się w klubie rekreacyjnym przy Dziewiątej Ulicy, zgromadzeni tam nauczyciele wybuchnęli na mój widok śmiechem. Któryś chciał wiedzieć, kto wysmarował mi piaskiem twarz. Też odpowiedziałem śmiechem. Osobników takich jak ja ludzie nie podejrzewają o nic tak długo, dopóki ci śmieją się wraz z innymi. A poza tym, dlaczego miałem się nie śmiać? Ostatecznie moja żona nie żyła już od siedmiu lat, prawda? Pozostał z niej w trumnie tylko proch, włosy i kilka kości! Dlaczego więc nie miałbym się śmiać? Kiedy człowiek nagle przestaje to robić, ludzie zaczynają podejrzewać, że coś jest z nim nie tak.

Śmiałem się wraz z nimi, jakkolwiek przez całą jesień i zimę bolały mnie mięśnie. Śmiałem się, mimo że nieustannie byłem głodny — żadnych drugich śniadań, żadnych przekąsek późnym wieczorem, żadnego piwa, żadnych przedobiednich ginów z tonikiem. Wyłącznie wołowina lub baranina i dużo, dużo, dużo warzyw.

Na Boże Narodzenie kupiłem sobie nautilusa.

Nie, niezupełnie tak. To Elizabeth kupiła mi na Boże Narodzenie ten przyrząd do ćwiczeń siłowych.

Już nie widywałem Dolana tak regularnie. Byłem zbyt zajęty przygotowaniami, zrzuca niem brzucha, rozwijaniem mięśni ramion, klatki piersiowej i nóg. Przychodziły jednak chwile, gdy ogarniało mnie zniechęcenie, opadały czarne myśli, że już nie zdołam odzyskać pełnej sprawności fizycznej, że nie potrafię funkcjonować bez drugiego śniadania, bez pierniczków w czekoladzie i, od czasu do czasu, solidnej porcji śmietanki do kawy. Kiedy nachodził mnie taki nastrój, parkowałem samochód naprzeciwko któregoś z ulubionych restauracji Dolana albo szedłem

do któregoś z klubów, gdzie często bywał, i czekałem, aż pojawi się z uwieszoną na ramieniu arogancką, zimną blondynką lub roześmianym, rudowłosym wampem — albo z obiema tego rodzaju kobietami — i wysiadzie z siwego niczym mgła cadillaca. Oto on, człowiek, który zabił moją Elizabeth, oto on w oślepiająco białej koszuli od Bijana, ze złotym rolexem ciskającym migotliwe łśnienia w światłach nocnego lokalu. Kiedy byłem zniechęcony i zmordowany, szedłem do Dolana niczym umierający z pragnienia na pustyni człowiek do oazy. Spijałem jego zatrutą wodę, która w jednej chwili orzeźwiała mnie i stawiała na nogi.

W lutym zacząłem codziennie biegać, a koledzy nauczyciele śmiali się z mojej łysej głowy, bo poróżnowała od słońca i zaczęła się łuszczyć z niej skóra. Później różnowała coraz mocniej i jeszcze bardziej się łuszczyła bez względu na to, ile kremu przeciwsłonecznego bym na nią nie nałożył. Wtórowałem im śmiechem, choć wielokrotnie bliski byłem utraty przytomności, a przez długie minuty przed końcem biegu dręczyły mnie potworne skurcze mięśni ściskające łydki i uda niczym stalowe imadło.

Kiedy przyszło lato, złożyłem w Wydziale Dróg i Autostrad w Nevadzie podanie o przyjęcie do pracy. Miejski urząd pracy niechętnie podstemplował formularz i skierował do okręgowego nadzorcy, niejakiego Harveya Blockera. Blocker był wysokim mężczyzną o skórze spalonej słońcem Nevady prawie na czarno. Miał na sobie dżinsy, zakurzone buty robocze i niebieski podkoszulek z obciętymi rękawami. Na przodzie koszulki widniał napis: ZŁE NASTAWIENIE. Pod skórą grały mu sploty wspaniale rozwiniętych mięśni. Popatrzył na moje podanie. Potem spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem. Papier wyglądał bardzo zabawnie w jego olbrzymiej dłoni.

— Chyba stroisz sobie żarty, przyjacielu. Tak, na pewno! Mówimy o pustynnym słońcu i pustynnym żarze, a nie o tych gównianych solariach dla yuppies. Co tak naprawdę robisz w życiu, braciszku?

— Jestem nauczycielem — odparłem. — Uczę w trzeciej klasie.

— Och, słoneczko ty moje — odparł i ponownie ryknął śmiechem. — Zejdź mi z oczu, dobrze?

Miałem zegarek kieszonkowy. Otrzymałem go od pradziadka, który pracował przy budowie ostatniego odcinka ogromnej linii kolei transkontynentalnej. Rodzinna legenda głosi, że pracował tam aż do chwili, kiedy wbito w podkład ostatni, złoty gwóźdź. Wyjąłem zegarek za dewizkę i zadyndałem nim przed nosem Blockera.

— A to pan widzi? — zapytałem. — Jest warte sześćset, może siedemset dolarów.

— Czy ma to być łapówka? — Blocker znów dostał paroksyzmu wesołości. Był z niego straszliwy śmieszek. — Człowieku, słyszałem o ludziach, którzy wchodzili w układy z diabłem, ale po raz pierwszy spotykam kogoś, kto za pomocą łapówki sam chce się dostać do piekła. — Popatrzył na mnie ze współczuciem. — Może ci się tylko wydaje, że wiesz, w co chcesz wdepnąć, ale ja jestem tutaj po to, żeby ci powiedzieć, że nie masz o tym zielonego pojęcia. Na zachód od Indian Springs spotykałem już w lipcu temperatury dochodzące do sześćdziesięciu pięciu stopni. Najsilniejsi wymiękają. A ty, braciszku, do najsilniejszych nie należysz. Nie musisz ściągać koszuli, żeby wyprężyć tych kilka nędznych mięśniów wyrobionych w klubie kulturowym dla yuppie. Zresztą natychmiast byś sobie te mięśnie naderwał.

— Proszę sprawdzić mnie przez jeden dzień. Nie naderwę sobie mięśni, a po prostu odejdę. Proszę zatrzymać ten zegarek. Nie kłóćmy się.

— Pieprzysz.

Popatrzyłem na Blockera, a on przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie.

— Faktycznie nie pieprzysz — powiedział w końcu ze zdziwieniem.

— Nie.

— Dasz ten zegarek na przechowanie Tinkerowi? — zapytał, wskazując kciukiem Murzyna o cyklopiej posturze, który w farbowanej wełnianej koszuli siedział nie opodal w kabinie spycharki, zjadał placek owocowy od McDonalda i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

— Można mu zaufać?

— Masz niewyparzoną gębę, koleś.

— A więc niech przechowa go do chwili, kiedy zdecyduje pan, czy mam wynosić się natychmiast, czy dopiero we wrześnie, kiedy będę musiał wracać do szkoły.

— Co mam zrobić?

Wskazałem formularz z biura pracy.

— Podpisać to. Nic więcej.

— Upadłeś na głowę.

Pomyślałem o Dolanie, o Elizabeth i nie odezwałem się słowem.

— Zacznesz od najbardziej gównianej roboty — ostrzegł Blocker. — Będiesz zrzucał łopatą z tyłu ciężarówki gorący asfalt i zalewał nim dziury. Nie dlatego, że zależy mi na twoim prze-

klętym zegarku, choć byłbym bardziej niż rad, gdyby trafił w moje ręce, ale dlatego, że w ten sposób zaczynają tu wszyscy.

— W porządku.

— Tak długo, aż zrozumiesz, braciszku.

— Rozumiem.

— Nie rozumiesz — odparł Blocker. — Dopiero zrozumiesz. No i miał rację.

Z następnych dwóch tygodni pamiętam tyle co nic — zgarbiałem łopatą gorący asfalt, zalepiałem nim dziurę w jezdni i ze zwieszoną głową wlokłem się za ciężarówką, dopóki nie zatrzymała się przy kolejnym wyboju. Czasami pracowaliśmy na Stripie i wtedy dobiegał mnie dźwięk dzwonek oznajmujących pełną pulę przy stolikach pokerowych w kasynach. Odnosiłem wrażenie, że to dzwoni mi pod czaszką. Unosiłem głowę i widziałem, że Harvey Blocker obserwuje mnie z wyrazem osobliwej litości, jego twarz lśniła w bijącym od rozpalonej szosy upale. Niekiedy przyglądałem się Tinkerowi siedzącemu pod brezentem skrywającym kabinę buldożera. Tinker wyciągał zegarek mego dziadka i bujał go na łańcuszku. Zegarek lśnił w promieniach słońca.

Toczyłem ze sobą straszliwą walkę, żeby nie zemdleć, żeby zachować przytomność. Wytrzymałem cały czerwiec, minął pierwszy tydzień lipca. Pewnego dnia podczas przerwy na lunch, kiedy jadłem kanapkę trzymaną w drżącej dłoni, przysiadł się do mnie Blocker. Potrafiłem tak nieraz drżeć do dziesiątej wieczorem. To od upału. Drżałem i niewiele brakowało, żebym zemdlał. Ale w takich chwilach myślałem o Dolanie i udawało mi się tylko drżeć.

— Ciągłe brakuje ci siły, braciszku — odezwał się Blocker.

— Nie — odparłem. — Ale jak ktoś powiedział, trzeba wziąć pod uwagę surowiec wyjściowy.

— W każdej chwili się spodziewam, że popatrzę w twoją stronę, a ty będziesz leżał nieprzytomny na środku drogi. Ale ty najwyraźniej wcale nie zamierzasz mdleć.

— Nie, nie zamierzam.

— Tak, nie zamierzasz. Tyle że jeśli w dalszym ciągu będziesz szedł z łopatą za ciężarówką, to w końcu zemdlejesz.

— Nie.

— Braciszku, największe upały dopiero się zbliżają. Tink nazywa tę pogodę piekarnikiem.

— Wytrzymam.

Wyciągnął coś z kieszeni. Był to zegarek mego pradziadka. Położył mi go na kolanach.

— Zabierz ten pieprzony zegarek — powiedział z niesmakiem. — Nie potrzebuję go.

— Przecież dobiliśmy targu.

— Odwołuję to.

— Jeśli wyrzucisz mnie z roboty, pozwę cię do sądu arbitrażowego — odrzekłem. — Podpisałeś mój formularz. Jeśli...

— Wcale cię nie wywalę — odparł i odwrócił twarz. — Chcę, żeby Tink nauczył cię obsługiwać ładowarkę czołową.

Przypatrywałem mu się długo, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Moja sala lekcyjna w trzeciej klasie, tak chłodna i przyjemna, nigdy jeszcze nie wydawała mi się równie odległa... i ciągle nie miałem najmniejszego pojęcia, co taki człowiek jak Blocker sobie myśli ani jak rozumie to, co powiedział. Zdawałem sobie sprawę, że mnie podziwia, a zarazem mną pogardza, ale zupełnie nie miałem pojęcia, co naprawdę myśli.

I nie musi cię to obchodzić, kochanie — odezwał się nieoczekiwanie w mojej głowie głos Elizabeth. — *Tu chodzi o Dolana. Pamiętaj, o Dolana.*

— Dlaczego chcesz to zrobić? — zapytałem w końcu.

Popatrzył na mnie. W oczach błysnęły mu złość i rozbawienie. Ale przeważała chyba złość.

— O co chodzi, braciszku? Jak myślisz, kim jestem?

— Nie...

— Myślisz, że chcę cię zabić, żeby mieć ten twój pierdzielony zegarek? Tak właśnie myślisz?

— Przepraszam.

— Tak, pewnie. Najżałośniejszy skurwiel, jakiego w życiu spotkałem.

Odłożyłem zegarek pradziadka.

— Nigdy już, braciszku, nie nabierzesz krzepy. Niektóre rośliny i niektórzy ludzie wytrzymują na słońcu. Inni więdną i umierają. Ty umierasz. Dobrze o tym wiesz, a mimo to nie szukasz cienia. Dlaczego? Dlaczego włączysz w takie gówno?

— Mam swoje powody.

— Ba, o to mogę się założyć. I niech Bóg ma w swej opiece każdego, kto ci stanie na drodze.

Podniósł się i odszedł.

Zbliżył się uśmiechnięty Tinker.

— Jak myślisz, potrafisz nauczyć się obsługiwać ładowarkę czołową?

- Wydaje mi się, że tak — odrzekłem.
- Mnie też się tak wydaje. Staruszek Blockhead bardzo cię lubi, tylko nie potrafi tego okazać.
- Zauważyłem.
- Tink roześmiał się.
- Twardziel z ciebie, skurwielu.
- Mam nadzieję — odrzekłem.

Resztę lata spędziłem na ładowarce czołowej, a kiedy jesienią wróciłem do szkoły, prawie tak czarny jak Tinker, nauczyciele przestali się ze mnie podśmiewać. Czasami, gdy ich mijałem, obserwowali mnie kątem oka, ale przestali się śmiać.

„Mam swoje powody”. Tak właśnie mu powiedziałem. Bo miałem. Dla kaprysu nie spędziłbym całego lata w piekle. Rozumiecie, musiałem dojść do formy. Przygotowanie się do tego, żeby wykopać grób mężczyźnie czy kobiecie, nie wymaga, aż tak drakońskich metod, ale ja wcale nie zamierzałem grzebać ani mężczyzny, ani kobiety.

Zamierzałem pogrzebać tego przeklętego cadillaca.

Do kwietnia następnego roku znajdowałem się na liście prenumeratorów biuletynu zatytułowanego „Znaki drogowe w Nevadzie”, wysyłanego przez Komisję do spraw Autostrad Stanowych. Wszelkie materiały na temat bieżących rachunków za naprawy dróg, nowo zakupionego sprzętu do prac drogowych, wszelkich akcji dotyczących kontroli szos poprowadzonych między piaszczystymi wydmami czy artykuły o najnowszych technikach zapobiegania erozji szos studiowałem pobieżnie. Głównie interesowały mnie dwie ostatnie strony biuletynu. Dział zatytułowany po prostu „Kalendarium”, w którym podawano miejsca oraz daty planowanych prac drogowych w nadchodzącym miesiącu. Szczególnie przykuwały mą uwagę miejsca i daty wymieniane po prostym, pięcioliterowym skrócie: PRZEB. Oznacza on słowo „przebudowa”, a doświadczenie wyniesione z pracy w ekipie Harveya Blockera mówiło mi, że przy tego rodzaju robotach prawie zawsze robi się objazdy. Ale nie zawsze. Decyzję o zamknięciu jakiegoś odcinka drogi Komisja do spraw Autostrad podejmuje bardzo niechętnie i w ostateczności. Ale wcześniej czy później — myślałem — tych pięć liter oznaczać będzie koniec Dolana. Tylko pięć liter, ale jakże często widywałem je w snach: PRZEB.

Nie łudziłem się, że przyjdzie mi to łatwo, albo że nastąpi w najbliższym czasie — zdawałem sobie świetnie sprawę z tego,

iż zapewne będę musiał czekać lata, a w tym czasie ktoś inny może dostać Dolana w swoje ręce. Był złoczyńcą, a złoczyńcy prowadzą niebezpieczne życie. Niczym rzadka koniunkcja planet, musiałyby jednocześnie wystąpić cztery niezależne od siebie czynniki: podróż Dolana, moje wakacje, święto państwowe, trzydniowy weekend.

Miną całe lata. Może nigdy to nie nastąpi. Ale czułem wewnętrzny spokój, miałem osobliwą pewność, że taka chwila nadejdzie, a wtedy ja będę gotowy. I w końcu rzeczywiście nadeszła. Nie tego lata, nie tej jesieni ani nie następnej wiosny. Ale w czerwcu zeszłego roku otworzyłem nowy numer „Znaków drogowych w Nevadzie” i ujrzałem w kalendarium:

1 LIPCA—22 LIPCA (poszerz.):

US 71 704—755 km (PASMO ZACHODNIE) PRZEB.

Trzęsącymi się rękami zacząłem kartkować stojący na biurku kalendarz. Czwarty lipca wypadł w poniedziałek.

A więc wystąpiły trzy czynniki z czterech, a podczas robót prowadzonych na długim odcinku autostrady z pewnością zrobią objazd.

Ale Dolan... co z Dolanem? Co z czwartym czynnikiem? Pamiętałem, że dotąd trzykrotnie wybrał się do Los Angeles w tygodniu, w którym wypadł Czwarty Lipca — w świątecznym tygodniu w Las Vegas w interesach panował zastój. Pamiętałem również, iż trzykrotnie wybrał się gdzieś indziej — raz do Nowego Jorku, raz do Miami, a raz do Londynu. Raz po prostu nie ruszał się z Las Vegas.

Gdyby się tym razem wybrał...

Czy istniał sposób, żeby to jakoś sprawdzić?

Długo się nad tym zastanawiałem i niepokoiły mnie dwie wizje. W pierwszej oczyma wyobraźni widziałem cadillaca Dolana pomykającego o zmierzchu autostradą US 71 w kierunku zachodnim, do Los Angeles. W promieniach zachodzącego słońca prowadził za sobą długi cień. Widziałem, jak mija szereg tablic z napisem: OBJAZD, z których ostatnia nakazywała wyłączyć radia CB. Widziałem, jak mija pozostawiony na skraju szosy sprzęt — buldożery, równiarki, ładowarki czołowe. Maszyny stoją w bezruchu nie dlatego, że zakończono już dzienną pracę, ale ze względu na weekend; trzydniowy weekend.

W drugiej wizji wszystko było tak samo, tyle że na czas weekendu zostały pozdejmovane tablice informujące o objeździe.

Zostały pozdejmowane, bo ja je zdjąłem.

Dopiero ostatniego dnia zajęć w szkole nieoczekiwanie przyszło mi do głowy, w jaki sposób mam się dowiedzieć, czy Dolan zamierza jechać na święto do Los Angeles, czy nie. Prawie zasympiałem już i umysł mój znajdował się w odległości tysięcy kilometrów zarówno od szkoły jak od Dolana, kiedy nagle usiadłem prosto jak rażony prądem, strącając stojący na skraju katedry wazon (były w nim jakieś przepiękne pustynne kwiaty, które wręczyli mi uczniowie na koniec roku szkolnego). Naczynie spadło z hukiem na podłogę i potłukło się. Kilku uczniów, którzy również drzemali, też wyprostowało się w ławkach jak rażeni prądem, a na mojej twarzy zapewne malowało się przerażenie, bo mały Timothy Urich wybuchnął płaczem i musiałem go długo uspokajać.

Prześcieradła — myślałem, gładząc Timmy'ego po głowie. — Prześcieradła, poszewki, pościel i srebrna zastawa stołowa... dywany... otoczenie domu. Wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Dolan z całą pewnością chce, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Naturalnie. To wszystko stanowiło w tym samym stopniu część Dolana co jego cadillac.

Uśmiechnąłem się, a Timmy Urich odpowiedział mi uśmiechem. Ale ja uśmiechałem się nie do niego.

Uśmiechałem się do Elizabeth.

W tym roku szkoła kończyła się dziesiątego czerwca. Dwanaście dni później poleciałem do Los Angeles. Wynająłem samochód i zatrzymałem się w tym samym tanim hotelu, z którego korzystałem przy innych okazjach. Przez kolejne trzy dni jeździłem na Hollywood Hills i obserwowałem posiadłość Dolana. Nie mogłem tego robić bez przerwy, ponieważ ktoś mógł w końcu zwrócić na mnie uwagę. Bogacze zawsze zwracają uwagę na kręcących się w okolicy obcych, ponieważ obcy aż za często okazują się niebezpieczni.

Jak ja.

Początkowo posesja była jak wymarła. Okiennice otwarte, trawniki niezarośnięte — Boże broń! — woda w basenie czysta i chlorowana. Ale poza tym domostwo sprawiało wrażenie opustoszałego. Żaluzje w oknach były opuszczone, na podjeździe nie stały żadne samochody, nikt nie pływał w basenie, którego brzegi każdego ranka starannie mył jakiś młodzian z włosami związanymi w kitkę.

Zacząłem podejrzewać, że cały mój plan wziął w łeb. Mimo to nie opuszczałem Los Angeles w nadziei, że jednak pojawi się w końcu ów czwarty czynnik.

Dwudziestego dziewiątego czerwca, kiedy byłem już prawie gotów dać za wygraną i rozpocząć kolejny rok obserwacji, oczekiwania, ćwiczeń i wakacyjnej pracy na ładowarce czołowej dla Harveya Blockera (jeśli, naturalnie, zatrudniłby mnie ponownie), przed posiadłością Dolana pojawił się niebieski samochód z napisem AGENCJA OCHRONY LOS ANGELES. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna, otworzył kluczem bramę, wprowadził do środka samochód, następnie wrócił piechotą i ponownie dokładnie zamknął bramę na klucz.

Było to wyraźne odstępstwo od panujących tu na co dzień zwyczajów. Poczułem przypływ nadziei. Odjechałem prawie na dwie godziny, po czym znów wróciłem, ale tym razem zaparkowałem przy sąsiedniej przecznicy, a nie naprzeciwko domu. W kwadrans później przed bramą zajechał kolejny niebieski van. Na boku pojazdu widniał napis: USŁUGI PORZĄDKOWE DUBO JOE. Serce mocniej zabiło mi w piersi. Obserwowałem to we wstecznym lusterku. Pamiętam, jak mocno zaciskałem dłoń na kierownicy wynajętego samochodu.

Z półciężarówki wysiadły cztery kobiety, dwie białe, Murzynka i Chicana*. Miały na sobie białe stroje, jak kelnerki. Ale oczywiście kelnerkami nie były. Były sprzątaczkami.

Któraś nacisnęła dzwonek umieszczony przy bramie, a wtedy natychmiast pojawił się ochroniarz i otworzył wrota. Cała piątka wśród wybuchów śmiechu zaczęła się przekomarzać. Ochroniarz próbował położyć jednej z kobiet rękę na pośladku, ale ona dała mu klapsa po dłoni.

Jedna wróciła do niebieskiej furgonetki i wprowadziła ją na podjazd. Pozostałe, głośno rozmawiając, ruszyły w stronę domu, a strażnik zamykał bramę.

Pot spływał mi po twarzy. Miałem wrażenie, że to tłuszcz. Serce waliło mi jak młotem.

Kiedy zniknęli z zasięgu wstecznego lusterka, odważyłem się odwrócić w stronę domu.

Zobaczyłem, że tylne drzwi furgonetki są otwarte.

Jedna sprząteczkaniosła stos schludnie złożonej pościeli, druga ręczniki. Trzecia dźwigała dwa odkurzacze.

* Chicana — Amerykanka meksykańskiego pochodzenia. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Zatrzymały się przed drzwiami wejściowymi i strażnik wpuścił je do środka.

Odjechałem. Byłem tak poruszony, że z najwyższym trudem mogłem skupić uwagę na kierownicy.

Otwierano dom. Dolan nadjeżdżał.

Dolan nie kupował co roku nowego cadillaca; nie kupował go nawet co dwa lata. Szary sedan DeVille, którym pojawił się pod koniec tego czerwca, miał już trzy. Znałem dokładnie wszystkie jego parametry. Napisałem list do General Motors z prośbą o przysłanie mi danych technicznych tej marki samochodu. Przedstawiłem się jako pisarz pracujący nad nową powieścią. Przysłali mi całą książkę obsługi wraz z prospektem tegorocznego modelu cadillaca. Zwrócili nawet zaadresowaną przeze mnie kopertę zwrotną ze znaczkiem. Najwyraźniej wielkie przedsiębiorstwa zachowują klasę nawet wtedy, gdy mają deficyt.

Potrzebne mi były trzy parametry — maksymalna szerokość, wysokość i długość cadillaca. Udałem się z nimi do znajomego nauczyciela z liceum w Las Vegas. Chyba już wam wspominałem, że przygotowywałem się do tego nie tylko pod kątem formy fizycznej. Z całą pewnością nie.

Przedstawiłem mu problem jako czysto teoretyczne zadanie. Oświadczyłem, że pragnę napisać opowiadanie science fiction i chciałbym, żeby wszystkie wyliczenia w nim były niezwykle dokładne. Podałem mu nawet zarys wiarygodnego schematu intrygi opowiadania — własna pomysłowość wręcz mnie zaskoczyła.

Mój przyjaciel chciał wiedzieć, z jaką prędkością ma się poruszać ów wymyślony pojazd zwiadowczy obcych. Takiego pytania nie przewidziałem i spytałem, czy to takie ważne.

— Naturalnie, że ważne — odparł. — Bardzo ważne. Jeśli zaplanowałeś, że wymyślony przez ciebie pojazd zwiadowczy ma wpaść w zastawioną pułapkę, pułapka musi mieć dokładnie wyliczone wymiary. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że ma pięćset osiemnaście centymetrów na sto pięćdziesiąt dwa.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, że niedokładnie tyle, ale uciszył mnie machnięciem ręki.

— No dobrze — stwierdził. — To ułatwi mi wyliczenie łuku.

— Czego?

— Łuku spadania — odrzekł, a mnie zrobiło się zimno.

Usłyszawszy taki zwrot, mężczyzna ogarnięty żądzą zemsty

mógł wpaść w sidła miłości. Słowa brzmiały mrocznie i złowieszczo: łuk spadania.

Zakładałem, że wystarczy, jeśli wykopię mogiłę, która będzie pasowała do wymiarów cadillaca. I dopiero mój znajomy nauczyciel matematyki uświadomił mi, że zanim dół posłuży za grób, wcześniej musi spełnić rolę skutecznej pułapki.

Oświadczył, że istotny jest kształt. Dodał, że jama, jaką sobie wymyśliłem, nie spełniłaby pokładanej w niej nadziei... Tak naprawdę szanse, że jej nie spełni, były znacznie większe, niż szansa, że to robi.

— Jeśli pojazd nie trafi dokładnie na sam początek dołu i natychmiast w niego nie wpadnie — oświadczył mój znajomy nauczyciel — to może wcale w niego nie wpaść. Prześlizgnie się nad nim, pochyli pod pewnym kątem, a kiedy stanie, obcy wydostaną się lukiem pasażerskim i dopadną twoich bohaterów.

Wyjaśnił, że rozwiązaniem jest poszerzenie przedniej części pułapki i nadanie całości kształtu zwężającego się komina.

Później wyniknął problem szybkości.

Jeśli cadillac Dolana będzie jechał za szybko, a dziura w ziemi będzie za krótka, pojazd przeleci po prostu nad nią i zahaczy podwoziem lub tylnymi kołami o krawędź dołu po przeciwnej stronie. Może nawet dachuje, ale cały do jamy nie wpadnie. Jeśli natomiast cadillac posuwać się będzie zbyt wolno, a dół okaże się za długi, auto może wyładować ukosem, oprzeć się na masce, nie spaść do środka czterema kołami i pułapka w takim przypadku również nie spełni swego zadania. Nie można przecież pogrzebać cadillaca z wystającymi na pół metra nad ziemię bagażnikiem i tylnym zderzakiem. To tak, jakby chciało się pochować człowieka z nogami sterczącymi w górę.

— No więc jak szybko zamierza jechać ten twój pojazd zwiadowczy? — zapytał mój znajomy.

Zacząłem szybko dokonywać w myślach obliczeń. Na autostradzie kierowca Dolana jechał z szybkością stu, stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W miejscu, gdzie zamierzałem zastawić pułapkę, zapewne będzie się wolniej posuwać. Mogłem wprowadzić zabrak znaki informujące o objęździe, ale nie zdołałem ukryć maszyn drogowych.

— Około dwudziestu rull — odparłem.

Nauczyciel uśmiechnął się.

— Przetłumacz to.

— Powiedzmy, osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

— Aha.